



Kryminał z myszką

58

Świetlista igła

Anna

Kłodzińska

Anna Kłodzińska

ŚWIETLISTA IGŁA

Kryminał z myszką – Tom 58

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67562-61-4

Copyright © Christofer Kłodzinski

Pierwsze wydanie: Czytelnik, Warszawa 1969, seria „Z jamnikiem”

Rozdział 1

Wartownik poruszył się niecierpliwie. W hallu znowu zadzwonił telefon, uwzięli się dzwonić wtedy, kiedy jadł kolację. Właściwie mógł nie podejść, rozmyślał, mógł być przecież teraz na zewnątrz gmachu, powinien tam być od czasu do czasu, należało to do jego obowiązków służbowych, które lekceważył, jeżeli padał deszcz.

Niechętnie odłożył nadgryzioną bułkę, poczekał jeszcze chwilę, ale telefon dzwonił uparcie, więc wstał i szurając butami podszedł do aparatu.

– Słucham, Instytut Chemii – powiedział, nastawiony nieżyczliwie do kogokolwiek, kto był po tamtej stronie słuchawki.

– Proszę siedemnastcie – głos był obcy, obojętny.

– Łączę – odparł machinalnie, chociaż wiedział, że w pracowni nie ma nikogo, tego wieczoru pusto było w Instytucie, widać nie mieli pilnych analiz. Połączył rozmówcę z siedemnastym wewnętrznym, oczywiście nikt się tam nie odezwał, więc przerzucił kabelek z powrotem i powiedział: – Nie ma nikogo.

– Zaraz... siedemnasty, to jest pracownia krystalicznych materiałów dielektrycznych? – Głos chciał się upewnić. – Bo może ja pomyliłem.

Wartownik zerknął na drukowany spis.

– Tak. Ale nikogo nie ma – powtórzył. – Już późno, jedenasta dochodzi. Kto był, to dawno poszedł do domu.

– Dziękuję. Do widzenia – odparł rozmówca. Szczęknęła słuchawka.

Dokończył kolacji, posiedział trochę, wypalił sporta. Potem uznał, że jednak trzeba obejść gmach, mogła wpaść kontrola, komendant straży lubił takie nocne wypadki, a ostatnio mieli ze sobą drobne porachunki. Wyjrzał przez okno. Deszcz ustał, ale wciąż było parno, miało się na burzę. Lipiec w tym roku zaczął się burzami, czasami po dwie, trzy dziennie.

Zdjął czapkę z wieszaka, sięgnął po karabin, przez chwilę pomyślał, czy też kiedykolwiek z niego wystrzeli, chyba jednak lepiej, żeby nie, po co mu to, można kogoś trafić i potem ciągnięcia po sądach, po prokuraturach. Spojrzał wyczekująco na telefon, ale ten milczał. – Chytry jesteś – mruknął, wychodząc na dwór.

Noc była bardzo ciemna, dopiero po dłuższej chwili oswoił oczy z tą ciemnością i zaczął rozróżniać krzaki, okalające Instytut, trochę jaśniejszą ścieżkę i dalekie światła latarni koło przystanku autobusowego. Gmach był wielki, odsunięty od ulicy trawnikiem i krzakami, cisza tu była, zwłaszcza w nocy. Ta część Mokotowa najrzadziej wymagała interwencji milicji, chuligani nie zaglądali w te strony, nie było tu knajp, budek z piwem, kina, nic z tych rzeczy. Surowa atmosfera dokoła Instytutu odstraszała tak zwany element.

Wartownik zagłębił się w mrok ogrodu, z wolna zataczając szerokie koła, to bliżej, to dalej od murów, jeszcze rozgrzanych słońcem. Pod okapem tylnego wejścia przystanął na chwilę, ocieęzały po jedzeniu, senny. Zapalił papierosa, ciągnął z wysiłkiem, bo był wilgotny, popatrywał po krzakach, po ulicy. Z przystanku ruszył autobus, po chwili doleciał stamtąd słaby zapach spalin, autobus skręcił w kierunku śródmieścia, potem znów nastała cisza.

Kiedy spojrzał w górę, coś raptem błysnęło, był to sekundowy błysk, gdzieś w gmachu czy nad budynkiem, nie mógł się zorientować, ale na wysokości drugiego piętra, mniej więcej koło okien pracowni, do której obcy facet przed pół godziną chciał się dodzwonić. Patrzył teraz uważnie, czy błysk się powtórzy, ale nic już nie dostrzegł.

– Burza idzie – powiedział do siebie. Nie słysząc było jednak grzmotu, widocznie burza czała się dopiero nad horyzontem.

Obszedł gmach, spoglądając co chwila w górę, nie był zbyt czujny, ale ten błysk go zastanowił. Wiedział, że w pracowni nikogo nie ma, wszystkie klucze wisiały w hallu na tablicy, sprzątaczkę pozamykały pokoje, a kierownik przyniósł klucze na dół. Nagle przyszło mu na myśl, że może ktoś nieostrożnie zostawił nie wyłączone aparaty i w pracowni nastąpiło spięcie. A ze spięcia mógł wyniknąć pożar i potem wszystko zwał na niego, że nie dopilnował.

– Psia ich mać! – zaklął, wracając do budynku. Poszukał na tablicy klucza z pracowni, po namyśle zgarnął wszystkie z drugiego piętra, może to było w innym oknie, musiałby potem wracać, a nie lubił zbytnio się fatygować. Ciężko stąpając, wchodził na górę, zapalał po drodze światła na schodach i w korytarzach.

Przed drzwiami pracowni „materiałów”, jak ją w skrócie nazywano, przystanął na chwilę i nasłuchiwał. Nikt się tam nie poruszał. Pociągnął nosem, nie poczuł dymu, pożaru nie było. Ale mógł być, za parę minut. Sięgnął po klucz, spojrzał na drzwi i nagle zdrętwiał.

Zamiast zwyczajnej dziurki od klucza, była tam teraz dziura wielkości małego jabłka, dokładnie w tym miejscu, gdzie wsadza się klucz, tak jakby ktoś wypalił otwór w zamku, stapiając jego metal. Wartownik dotknął otworu, brzegi były jeszcze ciepłe. Poruszył klamką. Drzwi były otwarte, oczywiście wskutek tego, że zamek diabli wzięli, i nic już nie broniło dostępu do pokoju.

Przerażony tym, co widzi, nic nie rozumiejąc, pchnął drzwi i zaśwycił światło pod sufitem. Na pozór wszystko tu było w porządku, żadnego ognia, nic się nie tliło, chociaż... tak, pociągnął mocno nosem, śmierdziało spalenizną lub czymś podobnym.

Nieufny już i ostrożny, rozglądał się uważnie dokoła. Jeżeli, myślał powoli, ale dokładnie, ktoś rozwalił zamek od pracowni, chociaż w hallu są klucze, Bóg wie, czym on to zrobił i po co, ale jeżeli zrobił, to miał w tym jakiś cel, chciał się tu dostać, więc musiał coś zabrać albo zostawić, raczej zabrać, tylko co i z którego miejsca?

Pracownia składała się z trzech pokoi w amfiladzie, połączonych nigdy nie zamykanymi drzwiami. Na samym końcu był gabinet kierownika, docenta Straszewskiego. Wartownik przypomniał sobie, że docent jest na urlopie, co zresztą w tej chwili nie miało żadnego znaczenia, bo znany chemik na pewno nie dobierałby się w taki sposób do własnej pracowni.

Jeszcze raz wciągnął mocno powietrze. Tak, to szło gdzieś stamtąd, od gabinetu. Nagle zorientował się, że ktokolwiek tu był, nie wyszedł przecież z gmachu, nie mógł wyjść, bo którędy, gdyby szedł przez hall, on by go zobaczył, a więc jeszcze jest w budynku. Może właśnie w gabinecie.

Drżącymi palcami ściągnął z pleców karabin, wprowadził nabój do komory. Oto może była ta pierwsza okazja do użycia broni, pomyślał, i ścierpła mu skóra. Nie chciał strzelać do żadnego człowieka, cóż jednak począć, jeżeli tamten będzie chciał zastrzelić jego?

– Jest tam kto? – krzyknął ochrypłym głosem. Kaszlnął, odchrząknął i czekał w napięciu. Ale nikt się nie odezwał, w gabinecie panowała zupełna cisza. – Czy tam ktoś jest? – zawołał jeszcze raz i posunął się o dwa kroki w stronę uchylonych drzwi.

Wreszcie zdecydował się. Z karabinem przy ramieniu, każdej sekundy gotów do strzału, zdenerwowany do ostateczności, mocno pchnął kolanem drzwi.

Gabinet był pusty. Jeszcze nie wierząc, rozglądał się dokoła. Wtedy zobaczył, że drzwiczki od żelaznej szafy obok okna są otwarte. Podeszedł bliżej, nie wypuszczając broni z ręki. I tutaj zamek był stopiony, jak tamten w drzwiach. Przez dłuższą chwilę stał bez ruchu przyglądając się szafie, ostrożnie dotknął zamka i syknął, prawie sparzyło mu palce. Skoczył nagle, bo coś zaszeleściło w kącie, ale to była chyba mysz, buszująca wśród papierów. Pochylił się nad tymi papierami, poczuł zimny pot na plecach. Leżały tu, porozrzucane w nieładzie, jakieś wykresy, dokumenty, rysunki. Na pewno prace badawcze docenta Straszewskiego albo jego asystentów. Te, które zawsze zamykano starannie w żelaznej szafie.

Nie, to wszystko było ponad jego możliwości. Trzeba natychmiast zawiadomić kogo tylko się da, w takiej sytuacji można komendanta straży bez skrupułów wyciągnąć z łóżka, kierownictwo Instytutu też.

Zbiegł do hallu tak szybko, jak tylko potrafił, odszukał w spisie domowe telefony, zacinając się z wrażenia zawiadamiał o wszystkim, co zobaczył. Potem dopiero, kiedy czekał przed frontowymi drzwiami na pierwszy samochód, opadł go największy strach. Bo przecież on tu był na straży i to, co zaszło, stało się w czasie jego służby, diabli wiedzą kiedy i jak... Może ktoś zakradł się dużo wcześniej i ukrył w którejś pracowni, były tu różne zakamarki, na trzecim piętrze po remoncie pozostały jeszcze nie poustawiane szafy, stolki, różne paki. Ale jeżeli ten ktoś wszedł, kiedy on był już na służbie? To co wtedy?

– Przyjdzie siedzieć – mruknął zrezygowany.

Usłyszał z daleka szum motoru, po chwili samochód gwałtownie zahamował przed gmachem, z wozu wyskoczył komendant straży. Tuż za nim, niemal dotknęła go zderzakiem, czarna wołga dyrektora Instytutu. „Teraz się zacznij” – pomyślał wartownik, przykładając palce do czapki.

*

– Nie rozumiem – komendant straży bezradnie rozłożył ręce. – Czym to zostało zrobione?

Dyrektor Głabisz wzruszył ramionami. On też nie rozumiał, nie tylko tego, w jaki sposób otwarto szafę i drzwi, ale i wielu innych rzeczy. Wiedział, że docent Straszewski pracuje od dwóch lat nad wykorzystaniem niektórych kryształów do laserowania, badania te na pewno miały dużą wartość, nie sądził jednak, żeby wyniki, jakie docent osiągnął, mogły zainteresować na przykład obcy wywiad. W końcu, tam na Zachodzie mieli w tej dziedzinie o wiele większe rezultaty. Któż więc w kraju mógł się uciec do aż tak przestępczych metod, aby zdobyć naukowe prace docenta?

Raz jeszcze przyjrzał się wnętrzu prawie pustej szafy. Papiery, starannie poukładane przez komendanta na biurku, nie były chyba najważniejszymi dokumentami, ale sam nie potrafił tego ocenić. Straszewski przebywał na urlopie w Bułgarii, trzeba było się zastanowić, czy ściąganie go z zagranicy jest w pełni uzasadnione, każdy ma prawo spokojnie odpoczywać.

Podszedł do telefonu stojącego na biurku.

– Niech pan mi da miasto – powiedział, kiedy na dole wartownik podjął słuchawkę. Potem czekał chwilę, aż tamten upora się z centralką, nie miał w tym wprawy. Wreszcie usłyszał sygnał i nakręcił numer jednego z asystentów docenta, modląc się w duchu, aby był w domu. Kiedy odezwał się zaspany głos inżyniera Rawicza, powiadomił go krótko, co zaszło, i poprosił o natychmiastowy przyjazd.

– Posyłam panu mój wóz – dodał i zaraz sobie przypomniał, że przecież o tej porze nie ma kierowcy, musiałby więc pojechać sam. Ale asystent odparł całkiem przytomnie, że przyjedzie swoim moskwiczem, bo tak będzie lepiej, samochody mogą być komuś potrzebne. Mówiąc to, miał na myśli innych kolegów z Instytutu, którzy pracowali z docentem nad kryształami.

Na miejscu Rawicz potrzebował dwóch minut, aby z całą stanowczością stwierdzić, że wśród rozłożonych na biurku papierów nie ma najważniejszych wykresów i opracowań. Złodziej, czy jak go należało nazwać, zabrał dość gruby maszynopis, zawierający ukończoną niedawno pracę Straszewskiego o spójnym promieniowaniu, wynikającym z domieszek jonów optycznie czynnych do kryształów. Nie wdając się w szczegóły inżynier powiedział, że jest to praca nadzwyczaj pożyteczna, a metody, jakimi docent się posługiwał, całkowicie oryginalne.

– Czy on ma kopie? – spytał dyrektor, czując niespokojne łomotanie serca, w końcu nie był już taki młody ani zdrow.

– Nie pamiętam – odparł Rawicz ostrożnie. – Chyba tak. Takie rzeczy zawsze robi się z kilku kopiami.

Nie dodał, że kopie, ile ich tam było, mogły również znajdować się w szafie i zniknąć razem z oryginałem. Przejrzał raz jeszcze notatki i wykresy na biurku, potrząsnął głową, to były zwykłe notatki, jakie sporządza się odręcznie w trakcie przeprowadzania ćwiczeń i analiz, nie miały większego znaczenia dla kogoś, komu zależało na ostatecznych wynikach.

– Ten – Rawicz zamyślił się na chwilę, był zdumiony i wstrząśnięty bardziej niż dyrektor, bo lepiej od niego zdawał sobie sprawę z sytuacji – ten człowiek, który zabrał maszynopis, musiał bardzo dobrze orientować się w krystalicznych materiałach dielektrycznych.

Głabisz spojrzał na inżyniera z przerażeniem.

– Nie sądzi pan chyba, że... że to ktoś z Instytutu? – spytał, to byłoby najgorsze, nie chciał tego za nic, aby tylko nie ktoś stąd!

Rawicz wzruszył ramionami.

– Skąd mogę wiedzieć? – burknął niegrzecznie, dyrektor mu przeszkadzał, jego przestrach i bezradność irytowały. – Zawiadomił pan milicję?

– Milicję? Nie. To straszne... Po co tu milicja? Może jakoś sami... – umilkł, przesunął językiem po wyschłych wargach.

– Co sami? Co? A te dziury w zamkach, przecież tu popełniono włamanie, przestępstwo! – inżynier prawie krzyczał. – Niech pan dzwoni po milicję – zwrócił się do komendanta straży. – Najlepiej do Pałacu Mostowskich.

Do gabinetu wbiegł drugi asystent Straszewskiego, Rakowski, którego Rawicz zawiadomił jeszcze przed wyjazdem z domu. Miał spodnie wciągnięte na pidżamę, włosy sterczały mu jak pióropusz, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. Trzęsącymi się rękami przekładał na biurku papiery, gryząc usta w zdenerwowaniu.

– Pracy nie ma – szepnął, na wpół do siebie. – Całego maszynopisu. I obydwóch kopii.

– Nie pamiętasz, czy docent miał jeszcze jedną w domu? – mruknął Rawicz, przyjmując od komendanta papierosa.

Rakowski potrząsnął głową przecząco. Doskonale wiedział, ile było kopii, sam je przepisywał na maszynie, a potem razem z docentem wkładali do górnej szuflady w żelaznej szafie. Kopie nie były ostatnio potrzebne, więc nikt ich stamtąd nie wyciągał. Teraz szuflada była pusta.

Pierwszy asystent odciągnął go pod okno, spojrzał bystro w oczy.

– Słuchaj, Jurek, co myślisz o tym wszystkim?

– A cóż ja mogę myśleć? Nic nie rozumiem. Komu mogło to być potrzebne?

– Każdemu, kto miałby w tym jakiś interes.

– Myślisz, że dla zagranicy? E, nonsens. Oni mają swoje opracowania.

– Jak gdzie – odparł Rawicz dyplomatycznie. – Zresztą, niekoniecznie dla zagranicy.

Ten, kto ukradł pracę, świetnie się w tym orientuje, wziął akurat to, co jest najistotniejsze. Specjalnie dobrał się do tej, nie innej pracowni. Zależało mu na tym. Mało tego: wiedział, że to jest tu, nie gdzie indziej.

Rakowski zbłądł, na nosie wystąpiły mu drobne kropelki potu.

– A więc – powiedział z determinacją – najbardziej podejrzani jesteśmy my dwaj.

– Tak – zgodził się tamten. – Ale nie tylko. Wszyscy, którzy wiedzieli o pracy.

Wszyscy z „materiałów”. Jedenaście osób.

– Odlicz sześciu, którzy są teraz na urlopie.

– Jeżeli rzeczywiście gdzieś wyjechali. Założmy, że tak, to pozostają prócz nas jeszcze trzy osoby.

– A oprócz tego całe mnóstwo ludzi, którzy mogli wiedzieć to i owo o pracy. Docent przecież kontaktował się fizykami, jeździł na Śląsk, sam mu przywoziłem z Katowic niektóre materiały. Zdaje się, że rozmawiał też o pracy w ministerstwie. No, chyba bez szczegółów.

– Niech to cholera weźmie.

Nie patrzyli teraz na siebie, to było straszne, ale w ich starą, wypróbowaną przyjaźń wdarł się nagle cień nieufności. Może nie od razu podejrzenie, żaden z nich nie potrzebowałby się uciekać do włamania, mieli przecież przedtem tysiące okazji, aby móc swobodnie skopiować pracę docenta. Jeżeli jednak któryś z nich powiedział o tym tam, gdzie to było niewskazane, w gronie ludzi mało znanych, może nawet zbyt głośno w kawiarni...

Na schodach zrobił się ruch, zastukały liczne kroki, Głabisz zgnębiony wprowadzał do pracowni dwóch ludzi w cywilnym ubraniu i jednego w milicyjnym mundurze. Pierwszy cywil od razu zainteresował się zamkiem u drzwi i pozostał przy nich, tamci weszli do gabinetu. Dyrektor przedstawił obu inżynierów. Cywil przywitał ich pobieżnym uściskiem dłoni, sierżant w mundurze zlekceważył formy towarzyskie, zbliżył się do szafy i zaczął oglądać stopiony zamek.

– Zostałem zawiadomiony telefonicznie przez wartownika – zaczął Głabisz – o tym, co zaszło...

– To znaczy, o czym? – przerwał mu cywil, przyglądając się dokładnie twarzom obu inżynierów, jakby oglądał obrazy na wystawie. Nerwowy Rawicz odwrócił głowę w bok, nie znosił natarczywego spojrzenia.

– Więc... wartownik powiedział mi, że ktoś włamał się do drzwi tej pracowni i otworzył żelazną szafę – dyrektor usiłował skupić myśli i mówić krótko, zwięźle – że szafa jest pusta, a papiery porozrzucane w kącie. Nikogo nie zauważył, obchodził gmach dookoła. Zresztą, może on to sam powie – wskazał wartownika, który stał na progu, świadom wszystkiego, co go czeka. – Mam służbowy samochód do dyspozycji, stał przed domem, gdzie mieszkam, więc ubrałem się jak najszybciej i przyjechałem. Drugim wozem, prawie razem ze mną, przyjechał komendant straży. Weszliśmy na górę, no i zastaliśmy to wszystko – pokazał ręką pokój. – Zawiadomiłem telefonicznie pierwszego asystenta z pracowni, magistrą inżyniera Henryka Rawicza. Potem przyjechał drugi asystent, magister inżynier Jerzy Rakowski.

– Kto pana zawiadomił? – cywil zwrócił się do Rakowskiego.

– Ja – odezwał się Rawicz. – Jeszcze z domu. Uważałem to za wskazane.

W głosie jego była ledwo znaczna nutka jakiegoś uporu czy hardości, cywil zapamiętał to, ale nie okazał bliższego zainteresowania.

– W tej szafie, panie... przepraszam, nie znam stopnia? – Głabisz uśmiechnął się, wypadło to jak skrzywienie.

– Porucznik Nowak. Chwileczkę – odwrócił się i podszedł do swego kolegi, który obejrzał już drzwi i pojawił się w gabinecie. – Wezwij wóz techniczny, dobrze? I zadzwoń do starego. Wiesz, żeby potem nie było jakichś tam...

– Chodź na chwilę – drugi oficer w cywilnym ubraniu pociągnął go do drzwi i wymownym ruchem pokazał wypaloną dziurę. – Widziałeś kiedy coś takiego?

Nowak pochylił się i uważnie przyglądał otworowi.

– Palnikiem – wzruszył ramionami. – Tlen, acetylen. Normalne.

– Nie sędzę – tamten potrząsnął głową.

– A czym? Przecież wypalone. Może zapalką? Zostaw to, idź dzwonić. Ważniejsze są teraz dokumenty.

Wrócił do gabinetu. Mimo woli jednak zbliżył się do szafy, dotknął palcem stopionego metalu. „Palnikiem?” – pomyślał zdziwiony. „To musiało dość długo trwać. Grubość szafy ma kilka dobrych milimetrów. Jeszcze przedtem drzwi. Potem szukanie wśród papierów. Chyba z pół godziny”.

Raptownie odwrócił się w stronę wartownika.
– Spaliście – rzekł surowo. – Proszę chuchnąć!
– Ja sprawdzałem. Nie pił – zastrzegł się komendant straży, obrzucając podwładnego wściekłym spojrzeniem.
Wartownik chuchnął posłusznie, a potem powiedział:
– Żebym tak zdrow był, panie poruczniku, ani na minutkę nie zasnąłem. Mogę w kościele przysięgać. Po dziesiątej, znaczy się dwudziestej drugiej, zjadłem w hallu kolację...
– Co? – przerwał porucznik.
– Kolację – powtórzył głośniejszym głosem wartownik.
– Ja słyszę dobrze. Co jedliście na kolację?
– Aha. No więc, jadłem dwie bułki z salcesonem, piłem herbatę.
– Jedzenie przynieśliście ze sobą?
– Tak, żona szykowała. Jak zwykle. Herbatę miałem w termosie.
– Kiedy żona kupowała salceson? Jedliście go już przedtem, w domu?
– Nie. Wczoraj kupiła. Ale w domu został jeszcze kawałek. Chyba żeby żona zjadła. –
Nie mógł zrozumieć, co ma głupi salceson do tego wszystkiego.
– Przed kolacją obeszlście gmach w środku?
– Tak, panie poruczniku.
– Wszystkie piętra? Korytarze, pokoje?
– Korytarze tak, pokoje nie, bo są zamykane.
– Kto je zamyka?

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU
ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI